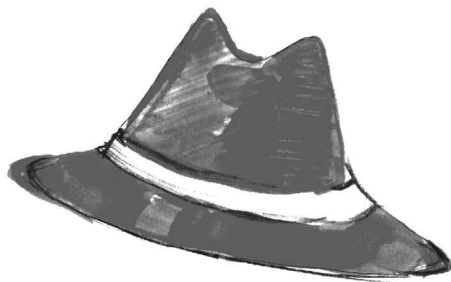


ADAM BAHDAJ

**KAPELUSZ
ZA
STO
TYSIĘCY**



Adam Bahdaj
Kapelusz za sto tysięcy

© by Adam Bahdaj
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka: Monika Kanios-Stańczyk
Korekta: Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska,
Aleksandra Różanek

Wydanie IX
w tej edycji

ISBN 978-83-7672-517-8

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630 23 81
www.wyd-literatura.com.pl

SOBOTA

Byłam szefem gangu

W czwartek przyjechaliśmy do Nieborza. Zaczynam jednak od soboty, bo w czwartek i w piątek nic się nie działo, a skoro nic się nie dzieje, to trudno o tym pisać.

W sobotę padał deszcz, a potem zaczęła się ta zwariowana historia z kapeluszem za sto tysięcy...

Zanim jednak przystąpię do kapelusza, powinnam się przedstawić. Nazywam się Krystyna Cuchowska, mam lat dwanaście, przeszłam do szóstej klasy i jestem podobno dziewczynką. Ale daję słowo, to jakaś pomyłka. Od urodzenia powinnam być chłopcem i nazywać się Krystyn Cuchowski. Mam o to wielki żal do rodziców. Bo pomyślcie, jak czuje się dziewczyna, która ma usposobienie chłopca, a w przyszłości chciałaby być szlachetnym szeryfem? Szeryf rozprawia się z bandą Zezowatego Jima i rozkochuje w sobie piękną córkę sędziego Richardsona wprost do nieprzytomności. Czyż ja w przyszłości będę mogła rozkochać złotowłosą Mary, wyrwać ją z rąk Zezowatego Jima, stanąć z nią przed ołtarzem, a potem obsypać złotem i perłami?

Ale trudno, jestem dziewczynką i muszę się z tym pogodzić.

Oficjalnie jestem Krystyna Cuchowska, lecz koledzy nazywają mnie „Dziewiątka”. Morowo, co? Byłam bowiem szefem gangu na Saskiej Kępie w Warszawie i ośmiu starszych ode mnie szczeniaków słuchało mnie jak własnej matki.

Zapytacie, jak zostałam szefem gangu, skoro z całej naszej dziewiątki byłam jedyną dziewczynką i do tego najmłodszą? To proste: Felek z Zakopiańskiej powiedział, że ten będzie szefem, kto wszystkich pokona. Na mnie w ogóle nie liczyli. Myśleli, że będę im chodziła do sklepu po cukierki albo cerowała skarpetki. O nie, moi drodzy! Nie wiedzieli, że w tajemnicy przed wszystkimi zapisałam się na kurs dżudo. Gdy przyszło do próby, najpierw dałam pucówkę najstarszemu i najsilniejszemu – Felkowi z Zakopiańskiej. Biedak rozplakał się, a inni nie chcieli już ze mną walczyć. Nazwali mnie Dziewiątką, a potem usługiwali mi i przynosili lody.

Mieliśmy mnóstwo wspaniałych planów, jednak skończył się rok szkolny i wszyscy rozjechali się na wakacje. Moja rodzina wyruszyła nad morze do Nieborza. Na wczasy – proszę sobie wyobrazić!

Wczasy rodzinne polegają chyba głównie na tym, że dzieci zatruwają życie rodzicom, a rodzice dzieciom. To ma być wypoczynek! Początkowo miałam wdychać jod, żeby mi się wzmocniły migdałki i żebym przyjechała zdrowa do Warszawy. Ale jak tu wdychać, skoro tyle ciekawszych zajęć, na przykład zbieranie bursztynów, nie mówiąc już o rozwiązywaniu zagadki kapelusza za sto tysięcy...

Nieborze składa się z morza, plaży i reszty, a reszta składa się z domów i ulic, które krzyżują się przeważnie pod kątem prostym i mają dość ciekawe nazwy, na przykład ulica Żart, ulica Słowicza, ulica Uskok... Z Żartu po prostu boki można

zrywać, a na Słowiczej wcale nie ma słowików, tylko wróble i makolągwy.

Nasz dom wczasowy nazywa się Ustronie. Stoi – jak na pośmiewisko – na samym środku ulicy Plażowej.

Mieszkamy na pierwszym piętrze pod trzynastką. Tata z Jackiem – mój młodszy brat, pozał się Boże – wciąż chodzą na ryby, a mama gra z paniami w brydża. Jeżeli jest pogoda, grają na plaży, jeżeli nie ma – w świetlicy. Zdaje mi się, że mama po to tylko wyjechała do Nieborza, żeby przegrać premię, którą tata otrzymał w czerwcu w fabryce za jakiś pomysł racjonalizatorski. Czy nie mogła przegrać tych pieniędzy w Warszawie?

Ja tymczasem marzę o wielkiej przygodzie...

Dni w Nieborzu dzielą się na dni pogodne i niepogodne. W pogodne dni wszyscy siedzą na plaży, w niepogodne – w kawiarni Jantar albo na tarasie hotelu Pod Trzema Żaglami.

Wszystko w Nieborzu jakoś się dzieli. Nawet letnicy i wczasowicze dzielą się na takich, którzy mają porażenie słoneczne pierwszego, drugiego lub trzeciego stopnia, bo ponoć za długo siedzieli na plaży, a teraz schodzi im skóra i są podobni do łuszczących się czerwonoskórych Indian. Dlatego Nieborze przypomina wioskę indiańską, której mieszkańcy cierpią na łuszczycę.

Spotkanie z ornitologiem

W czwartek i piątek było piekło, trzydzieści stopni w cieniu. Smażyliśmy się w promieniach ultrafioletowych i w innych – w jakich kto chciał. A w sobotę generalna kłapa. Podobno

nad Skandynawią zaległ nagle wielki niż i przemieścił się nad nasze wybrzeże, tak jakby nie miał nic innego do roboty. To skandal, nad Skandynawią niż, a my musimy cierpieć i patrzeć, jak za oknami pada deszcz.

Wszyscy nagle zwiesili nosy na kwintę i chodzili ze znużonymi minami. Tylko tata pogwizdywał od rana. Mówił, że jak deszcz, to lepiej biorą ryby. Jacek też tak mówił, bo zawsze powtarza za tatą. Wzięli więc rowery, peleryny, gumowe buty, wędki i pojechali w niewiadomym kierunku.

Mama narzekała, że ją łamie. Nie wiedziała, w którym miejscu, lecz bardzo się krzywiła i wypytywała, czy na dole w świetlicy grają już w brydża. Niestety nie grali, więc mama zaczęła narzekać na ludzi, którzy zamiast zerwać się o świcie, wylegają się w łózkach i nie wiadomo o czym myślą.

Żał mi było mamy, więc zahaczyłam nieśmiało:

- Może byśmy poszły na spacer.
- W taką pogodę? – zdziwiła się.
- Pójdziemy zbierać bursztyny. Wczoraj nazbierałam pół słoika.
- W taki deszcz?
- Wczoraj nie było deszczu.
- Ach, prawda, zupełnie o tym zapomniałam. Jeżeli masz ochotę, to idź sama.
- Mamusiu, przecież obiecywałaś w Warszawie...
- Tak, ale dzisiaj podle się czuję.
- Jestem pewna, że spacer dobrze ci zrobi.
- Wyrzyc, czy jeszcze pada.
- Pada, mamusiu.
- No, proszę, chcesz mnie wygnać z moim ischiasem na taką pluchę. Okropność!
- W takim razie pójdę sama – powiedziałam zdecydowanie.

– Idź, moja droga, tylko ubierz się ciepło, bo podobno straszny wiatr.

– Włożę wellingtony i pelerynę. Nic mi nie będzie.

– I gruby sweter, bo cię przewieje.

– I jeszcze co?

– Może dres Jacka. Wisi w szafie.

– Dziękuję. Będę wyglądała jak bokser.

Mama chciałyby, żebym włożyła na siebie wszystko, co mam. Zgodziłam się jedynie na sweter.

– Żebyś mi się tylko nie przeziębila.

Oczywiście, dla rodziców po to jedynie wychodzimy, żeby się przeziębnić, a potem wysłuchiwać: „A widzisz, a mówiłam, gdybyś mnie słuchała, to nie dostałabyś kataru”. Tak jakby katar nic nie robił, tylko czyhał na zdrowie.

Ubrałam się szybko. Spojrzałam w lustro. W wellingtonkach, dzinsach i zielonej pelerynie wyglądałam jak Robin Hood wybierający się na łowy, a może nawet lepiej.

– *Ciao*, mamusiu! – zawołałam, porwałam słoik i wybiegłam z domu.

Na dworze padał deszcz...

Muszę przyznać, że podobał mi się deszczowy krajobraz. Od morza szedł wiatr. Na wysokim brzegu gięły się w pokłonach sosny. Ich korony, jak flagi, trzepotały nad smukłymi masztami pni. Kilka przewróconych koszy leżało na pustyj plaży, a morze z szumem i sykiem nacierało na brzeg. Grzywiaste fale osiadały na piasku niby zmęczone daleką podróżą potwory. Pozostawiały po sobie obrzeża z piany, drobnych muszelek i ciemnego kozucha morszczynu. Nad molo w porywach wiatru krążyły mewy. Było pięknie i dziko. A deszcz... Deszcz nie jest taki groźny. Można sobie wyobrazić, że to olbrzymie natryski, prosto z nieba.

Wydałam radosny okrzyk – „Ahoj!” – i zbiegłam po schodkach na plażę. Po mokrym, ubitym przez fale piasku szło się jak po asfalcie. Minęłam molo, skierowałam się w lewo, w stronę wioski rybackiej i morskiej latarni. Szłam wzdłuż wymytego przez fale brzegu, grzebiąc patykiem wśród osadu żwiru, muszelek i morszczyń. Szukałam bursztynowych skarbów.

Pyszna zabawa! Wyobraziłam sobie, że jestem poszukiwaczem złota w Klondike. Czasem wśród muszelek błysnęła bursztyn. Wtedy puszczałam się biegiem, jak gdybym obawiała się, że ktoś mnie uprzedzi. Z radością podnosiłam bryłkę bursztynu, ważyłam ją w dłoni i wrzucałam do słoika.

Tak byłam zajęta zbieraniem bursztynów, że nie zauważyłam łodzi.

Leżały na piasku jak wielkie, śnięte ryby. Szłam dalej w stronę latarni morskiej.

Naraz tuż przed sobą ujrzałam skuloną postać. Ktoś zbliżał się do mnie z przeciwnej strony. Jeszcze jeden poszukiwacz skarbów. Traf chciał, że między nami, wśród muszelek, błysnęła fantastycznie duży kawał bursztynu. Ujrzeliśmy go jednocześnie. Ja jednak byłam szybsza. Skoczyłam do przodu i przydepnęłam bursztyn nogą.

– To mój! – zawołałam zdobywczo.

– A figa, ja go pierwszy zobaczyłem!

Przede mną stał rostry chłopiec. Miał duże, zielone oczy, jasne włosy, a gęba tak mu się łuszczyła, że pożał się Boże. Patrzył na mnie zadziornie. W pierwszej chwili chciałam mu ustąpić, ale nie spodobało mi się jego zaczepne spojrzenie.

– Właśnie że ja – powiedziałam wyzywająco.

– Wpierw trzeba ustalić.

– Bursztyn leżał na mojej drodze.

W oczach chłopca zobaczyłam niebezpieczne błyski.

– Dawaj – powiedział – bo cię trzepnę!

– Spróbuj!

Chłopiec chciał mnie pchnąć, lecz zanim mnie dosięgnął, zastosowałam jeden z piętnastu zasadniczych chwytów i jak worek piasku przerzuciłam go przez ramię. Proszę bardzo, bohater leży na piasku, a ja się śmieję. Zdaje mi się, że był bardzo ambitny, bo zerwał się i ruszył na mnie z zaciśniętymi pięściami. Wystarczył jednak ledwo widoczny ruch nogi, żeby znowu zarył łuszczącym się nosem. Gdy wstał, roześmiałam się jeszcze głośniejsze.

– No, spróbuj!

Nie miał ochoty. Rzucił mi tylko przez zaciśnięte zęby:

– Nie masz pojęcia, z kim masz do czynienia.

– I ty też nie masz.

– Jestem najlepszym ornitologiem w klasie.

Zamurowało mnie. Ornitolog! Cóż to takiego? Może niebezpieczny przestępca albo... lichy go wie? Nie mogłam mu być dłużna.

– A ja jestem szefem gangu – zawołałam. – Słyszałeś o Dziewiątce z Saskiej Kępy?

– Nie miałem przyjemności, bo mieszkam na Mokotowie.

– To ci powiem. Jestem Dziewiątka i mam pod sobą ośmiu takich jak ty szczeniaków, rozumiesz?

– Mięta – powiedział. – Nie zaimponujesz mi. Ja w Wilanowie nad Wisłą znalazłem trzy gniazda remizów.

Zbaraniałam. Do tej pory nie słyszałam nigdy o remizach ani nie miałam przyjemności oglądać ich gniazd. Chłopiec uśmiechnął się kpiąco i wyjaśnił:

– Remizy to ptaki, które nad wodą budują fantastyczne wiszące gniazda. Jeśli chcesz, to mogę pokazać ci zdjęcia. Sam je robiłem.

– Pokaż – powiedziałam już mniej zadziornie.

– Niestety, nie mam przy sobie, tylko w domu.

– Gdzie mieszkasz?
– Na Słowiczej, w Marysieńce.
– To świetnie, wpadnę do ciebie, strasznie jestem ciekawa, jak wyglądają te gniazda.
– Mówię ci, fantastycznie.
– Jak ci na imię?
– Maciek.
– A tobie?
– Krysia, ale chłopcy nazywają mnie Dziewiątka.
– Dlaczego nie Siódemka?
– Bo w gangu było nas dziewięcioro, rozumiesz?
– Rozumiem.
Podniosłam z ziemi bursztyn.
– Masz, jeżeli ci tak na nim zależy.
– Ależ nie, to głupstwo. Nie wiedziałem, że jesteś szefem gangu.
– Masz – powiedziałam. – Możesz nawet powiedzieć, że dostałeś ode mnie.
– Dziękuję ci, to będzie naprawdę miła pamiątka.
Przyjrzałam mu się dokładniej. Był wysoki, zgrabny i miał żywe ogniki w oczach. Może nawet nadawałby się do mego gangu na zastępcę szefa.
– Chciałbyś być w moim gangu? – zapytałam.
– Dziękuję. Jestem przecież ornitologiem.
– A cóż to takiego?
– Zajmuję się ptakami.
– To musi być nudne. Zastanów się. Zrobimy tutaj bandę i napadniemy na hotel Pod Trzema Żaglami. Będzie fantastyczna zabawa.
– Ja wolę ptaki – odparł z uporem.
– Trudno. W każdym razie przyjdę zobaczyć te zdjęcia gniazd remisów.

– Remizów – poprawił mnie. – Zapamiętaj, Słowicza siedemnaście, willa Marysieńka.
– *Ciao!* – podałam mu rękę.
Odsunął się przezornie, uniósł dłoń do czoła i pożegnał mnie po żołniersku.

To nie mój kapelusz

Wracałam z pełnym słoikiem złocistych bursztynów. Czulałam się jak poszukiwacz złota z Klondike wracający do domu z pełnym workiem złotego piasku. Ale nawet najwspanialszy poszukiwacz złota jest tylko człowiekiem i po dniu pracy czuje, że ma pustkę w żołądku. Ja również czulałam, więc postanowiłam wzmocnić nadwątlony organizm odpowiednią ilością kalorii. Grunt to kalorie!

Na rogu ulicy Słowiczej i Jana z Kolna poczułam się jednak dużo lepiej. Zobaczyłam bowiem wielki szyld: „KAWIARNIA JANTAR – zaprasza na smaczne lody i rurki z kremem własnego wyrobu”. Na myśl o lodach zrobiło mi się lodowato, rurki z kremem natomiast wprowadziły mnie w błogi nastrój.

Minęłam ogród z moknącymi na deszczu barwnymi parasolami, weszłam do parterowego pawilonu. Ogarnął mnie rozkoszny zapach kawy, wanilii i świeżego ciasta. Na bufecie wesoło syczał niklowy ekspres, a sala była nabita do ostatniego miejsca. Na jednym metrze kwadratowym dziesięć osób, a każda coś piła, jadła, coś mówiła i paliła papierosa. Jednym słowem – poczekalnia w piekle. Gdyby nie rurki, byłabym uciekła, lecz dla rurek z kremem warto się poświęcić.

Stałam chwilę, ociekając deszczem. Szukałam wolnego miejsca. Niestety, w deszczowy dzień w Jantarze łatwiej zna-

leżć sto tysięcy anizeli jedno wolne krzesło. Pomyślałam, że zjem przy bufecie.

Zrzuciłam mokrą pelerynę i powiesiłam ją na wieszaku. W tym momencie zwróciłam uwagę na dwa kapelusze. Wisiały na sąsiednich hakach jak dwa bliźniaki. Były to letnie kapelusze z beżowej popeliny z gęsto stębnowanymi rondami.

Oba nowiutkie, jakby prosto ze sklepu, i oba suche. Ich właściciele używali zapewne parasoli.

Zastanowiło mnie, po czym można odróżnić takie dwa identyczne kapelusze. A zresztą, niech się o to martwią ich właściciele. Coś mnie niepokoiło, chociaż wtedy nie przypuszczałam jeszcze, że kapelusze staną się największą sensacją letniego sezonu. Tymczasem spoczywały spokojnie na sąsiednich hakach, jak gdyby je zostawili bracia syjamscy.

Zamówiłam dwie rurki z kremem, usiadłam na parapecie okna, wzięłam „Przegląd Sportowy” i zaczęłam studiować tabelę dziesięciu najlepszych wyników lekkoatletycznych na świecie. Po chwili zupełnie zapomniałam o kapeluszach.

Naraz spostrzegłam, że ktoś podchodzi do wieszaka. Wytworniś – oceniłam go jednym spojrzeniem. Młody mężczyzna wyglądał, jakby go przed chwilą wycięto z londyńskiego żurnala: elegancki garnitur z szarej flaneli, śnieżnobiała koszula, granatowy jedwabny krawat, a wszystko spod igły najlepszego krawca. Przy tym mina lordowska, a spojrzenie zdobywcy Mount Everestu. Przystojniak! – śniady, ogorzały, włosy ciemne, krótko przystrzyżone z zabójczym przedziałkiem na boku. A w zębach krótka, pękata fajeczka. Jednym słowem – goguś, który zlął wprost z ekranu.

Zanim zdążyłam lepiej mu się przyjrzeć, Goguś (tak go będę nazywać) sięgnął po kapelusz. Wahał się, który z dwóch zdjąć z wieszaka. Trwało to mgnienie oka. Potem zdecydowanym ruchem zdjął kapelusz wiszący bliżej drzwi wejścio-

wych, przełożył go do lewej ręki, wziął stojący w kącie parasol i wolnym, niemal majestatycznym krokiem skierował się do drzwi.

Zapamiętałam każdy jego ruch, jakby to był film kręony w zwolnionym tempie. Po chwili ujrzałam go w ogrodzie. Bez pośpiechu otwierał parasol. Kapelusz wciąż trzymał w ręku. Wydało mi się to nieco podejrzane. Po jakie lichy wydawać forszę na kapelusz, żeby później nosić go w ręku? A może to należy do dobrego tonu?

Goguś tymczasem sprężystym i pełnym elegancji krokiem przemierzał ogród, a gdy znikł w bramie i skręcił w ulicę Jana z Kolna, widać było tylko czarny parasol sunący nad żywopłotem niby spadochron.

Wtedy do wieszaka zbliżył się drugi mężczyzna. Najpierw zobaczyłam jego wielką łysinę, potem szerokie plecy. Ubrany był bardzo niedbale: flanelowa koszula, na niej stara wełniana kamizelka, welwetowe, wytarte spodnie i rozczłapane trampki.

Wolno, ospale sięgnął po pozostały kapelusz. Chciał go włożyć, lecz nagle przyjrzał mu się uważnie. Obracał chwilę w pulchnych dłoniach, odwrócił dnem do góry, zajrzał do środka, a potem odsunął i powiedział głośno, dobitnie:

– Przecież to nie mój kapelusz!

We mnie coś drgnęło, coś podszeptało mi, że zaczyna się niezwykła przygoda: oto kawiarnia nabita ludźmi, a tylko ja jedna zauważyłam pomyłkę. Podeszłam, dygnęłam i powiedziałam:

– Proszę pana, przed chwilą jakiś pan zabrał wiszący obok kapelusz. Jeśli pan chce, to wyskoczę. Może go jeszcze dogonię.

Łysy jegomość uśmiechnął się dobrodusznie.

– Będę ci bardzo wdzięczny, ale czy to warto... w taki deszcz.

– Głupstwo – powiedziałam i wybiegłam z kawiarni. Byłam ogromnie ciekawa, jaką minę zrobi Goguś, gdy mu powiem, że zabrał cudzy kapelusz. Niestety, nie zobaczyłam jego miny, bo Goguś rozpląnął się w mglistym powietrzu. Pobiegłam do rogu ulicy Jana z Kolna, potem sto kroków w lewo, zawróciłam sto kroków w prawo. Nic, tylko pustka i deszcz, a w deszczu ja z miną rozczarowaną i z mokrą głową, jak wariatka.

Zniechęcona zawróciłam do kawiarni. W progu czekał już na mnie łysy jegomość. Nerwowo przecierał szkła okularów i mrużył krótkowzroczne oczy.

– Ale zmokłaś, moja panno – przywitał mnie. – Mówiłem, że nie warto.

– To głupstwo... I proszę się nie przejmować, bo dobrze sobie zapamiętałam tego pana.

Jegomość założył okulary.

– Jesteś bardzo uprzejma. Sądzę jednak, że to zwykła pomyłka, a ów pan, gdy się tylko zorientuje, odniesie kapelusz do kawiarni.

– I mnie się tak zdaje – powiedziałam. – Zresztą, czy to ma jakieś znaczenie? Kapelusze były przecież identyczne.

– Skąd wiesz?

– Mam wyrobione oko. Jestem pewna, że miały nawet ten sam numer. Proszę zmierzyć.

Jegomość patrzył na mnie z niedowierzaniem. Wolnym ruchem przykrył łysinę.

– Jak ulał – powiedział zdziwiony. – Ty rzeczywiście masz wspaniałe oko.

– Ba – uśmiechnęłam się tajemniczo – gdyby pan wiedział, z kim ma do czynienia, toby się pan tak nie dziwił.

Jegomość zmrużył porozumiewawczo oko.

– Jestem ogromnie ciekaw.

– Szef gangu – dodałam szeptem.

Jegomość zamurowało. Dopiero po chwili roześmiał się ni w pięć, ni w dziewięć.

– Może się pan śmiać z siebie – powiedziałam. – Zamienili panu kapelusz, a pan nic nie spostrzegł. A ja muszę za pana uważać.

Jegomość zatarł pulchne, obsypane rudawym włosem dłonie.

– To pięknie, że jesteś szefem gangu. Pomożesz mi odnaleźć kapelusz.

– Przecież ten leży jak ulał.

Jegomość zdjął kapelusz, obracał go w dłoniach i przyglądał mu się uważnie.

– Tak – rzekł w zamyśleniu – leży jak ulał, a jednak nigdy bym go nie oddał.

– Nie rozumiem, przecież...

– Nie warto zastanawiać się nad tym – przerwał mi. – Mam nadzieję, że ten człowiek odniesie mój kapelusz do kawiarni, a ten zostawię tymczasem u kelnerki. Bądź zdrowa, szefie gangu! Dziękuję ci serdecznie. Byłaś naprawdę bardzo miła i uprzejma. A gdybyś przypadkiem spotkała tego pana, to powiedz mu, że kapelusz jest w Jantarze.

Może pana duch był w Jantarze?

Dziwak! Kapelusz leży na jego łysinie jak ulał, a on mówi, że „nigdy by się nie zamienił”. I jeszcze śmieje się ze mnie. Ciekawe, co by powiedział, gdyby zobaczył ośmiu moich gangsterów z Saskiej Kępy. Na pewno zrzędlaby mu mina.

I w ogóle, co mnie obchodzi jego kapelusz.

Zjadłam dwie rurki z kremem. Pycha! Po dwóch rurkach zaraz świat inaczej wygląda. Nawet deszcz przestaje padać, a spoza chmur wygląda słońce.

Spojrzałam na zegarek. Była dwunasta. W Ustroniu obiad podają dopiero o drugiej. Miałam dwie godziny przed sobą. Postanowiłam podziwiać naturę.

W Nieborzu najlepiej podziwia się naturę z wysokiego brzegu, który wznosi się zaraz za domkami campingowymi. Rozciąga się stamtąd wspaniały widok na morze, na fale, na bałwany i na siną dal.

Szłam wolno ulicą Jana z Kolna. Była to ulica starych willi i zacisznych domków. Wszędzie starannie utrzymane ogrody, pełno kwiatów, drzew, ozdobnych krzewów. I pełno śpiewu ptaków. Przyjemnie było iść wśród ogrodów lśniących jeszcze deszczową świeżością, pachnących, rozśpiewanych.

Minęłam miejscowe boisko. Zamiast piłkarzy ujrzałam białą, brodatą kozę i dwa łaciate koziołki. A potem zobaczyłam tabliczkę z napisem „ŻART” i znowu zachciało mi się śmiać. Człowiek, który nazwał tak uliczkę, musiał być bardzo dowcipny.

Uliczka była wąska, wysypana czystym żwirem. Wyglądała jak tunel wydrążony w zieleni drzew i krzewów. Z lewej strony ciągnął się niski mur, z prawej, poza ogrodzeniem z drucianej siatki, pod koronami wysokich jesionów widać było dach z czerwonej dachówki, a w głębi zabudowania gospodarskie. Między domem a zabudowaniami ciągnął się ogród. Kilka karłowatych jabłonek, zdziczałe krzewy agrestu. Zarośnięte klomby i grządki tonęły w dżungli chwastów.

Bardzo lubiłam takie małe uliczki i takie zapuszczone ogrody. Było w nich coś smętnego, tajemniczego. Znakomicie nadawały się do zabawy w Indian albo w gangsterów. Skręciłam w ulicę Żart z uczuciem, jakby za chwilę miało się stać coś bardzo dziwnego.

Naraz na ścieżce prowadzącej z domu do furtki ujrzałam znajomą sylwetkę. Ten sam elegancki garnitur, ta sama nieskazitelna koszula, ba, ten sam krawat i nawet ta sama przesadna wytworność w ruchach, a w ustach krótka angielska fajeczka. Słowem, Goguś z Jantaru we własnej osobie. Nieba mi go zsyłają! Genialny facet, na zawołanie umie się rozplywać i zjawiać w nieoczekiwanym momencie. Poczekaj, zaraz zahaczę cię o ten kapelusz.

Goguś tymczasem, jak gdyby nigdy nic, zbliżał się do furtki. Mina lordowska, w jednej ręce zwinięty parasol, w drugiej nowiutki kapelusz z popeliny, a w zębach wygasła fajka. Widocznie taki fason. Wydało mi się, że jestem na filmie albo śnię. Gdy jednak Goguś pchnął furtkę i wyszedł na ulicę, zrozumiałam, że szczęśliwy zbieg okoliczności zesłał mi tego człowieka.

Zrobiłam bardzo poważną minę, a gdy się ze mną zównał, zahaczyłam:

– Proszę pana, zdaje się, że to pan przez pomyłkę zamienił w kawiarni kapelusz.

Goguś stanął jak wryty. Najpierw spojrzał na mnie, potem na kapelusz, a potem wybąkał zdumiony:

– Ja?... W kawiarni?... Kapelusz?...

– W Jantarze, pół godziny temu.

– W Jantarze? – zrobił jeszcze pociesniejszą minę.

– Przecież pan był w Jantarze i pomyłkowo zabrał pan z wieszaka inny kapelusz.

– Ty się chyba mylisz, moja droga.

– Bardzo przepraszam, ale ten pan, któremu pan zabrał kapelusz, prosił mnie, żebym pana zawiadomiła.

– To śmieszne – przerwał mi opryskliwie. – Po pierwsze, nie byłem w Jantarze, a po drugie, nikomu nie zabrałem kapelusza. I bardzo cię proszę, nie rób niesmacznych żartów.

Miałam uczucie, jakbym dostała pałką w łeb i zobaczyła wszystkie gwiazdy z Gwiazdą Polarną na pierwszym planie.

– Tere-ferre! – zawołałam. – To pan kpi sobie ze mnie! Przecież widziałam na własne oczy. Pan nie wie, z kim pan ma do czynienia.

Zabiłam mu porządnego ćwieka, bo uśmiechnął się cierpko i wyjął fajeczkę z zębów. Był to najoczywistszy znak, że się denerwuje.

– Panienko – powiedział z przekąsem – czego właściwie chcesz ode mnie?

Nie mogłam już dłużej wytrzymać. Gdy zobaczyłam, że w fajce nie ma tytoniu, parsknęłam nagle śmiechem.

– Proszę odnieść kapelusz do Jantaru i oddać go kelnerce, bo właścicielowi bardzo na nim zależy.

Myślałam, że zblednie i zacznie się tłumaczyć, a on tymczasem uniósł kapelusz do moich oczu.

– Śmieszne – powiedział. – Przecież to mój własny kapelusz. O, proszę – wyrzucił go dnem do góry i wskazał na skórzaną wkładkę. – Widzisz monogram?

Chwilowo nic nie widziałam, bo byłam bardzo przejęta, ale po chwili na wkładce dostrzegłam wypisany czarnym tuszem monogram „WK”.

– Koń by się uśmieł! – prychnęłam. – To przecież może być monogram tamtego pana.

Goguś syknął zniecierpliwiony.

– W takim razie powiedz, jak się nazywa tamten pan.

– Niestety, nie wiem.

– Więc nie zawracaj mi głowy. – Ze złością trzepnął kapeluszem o kolano i włożył fajeczkę do ust. Był to znak, że nie chce ze mną dłużej dyskutować.

– Chyba pana duch był w Jantarze – powiedziałam.

Goguś wzruszył ramionami, odwrócił się i ruszył sprężystym krokiem w stronę ulicy Jana z Kolna.

Zbaraniałam, jeżeli człowiek w ogóle może zbaranieć. W głowie miałam zamęt. W uszach dźwięczały mi jeszcze słowa: „Po pierwsze, nie byłem w Jantarze, a po drugie, nie zabrałem nikomu kapelusza...”. Gdyby to było na ulicy Słowiczej, mogłabym jeszcze uwierzyć, ale na ulicy Żart? O nie, mój panie, żartować możesz, ale nie z Dziewiątką. Dziewiątka ma głowę na karku i dobre oczy. Albo pan udaje ducha, albo po prostu wypiera się bezczelnie.

Stałam chwilę jak sparaliżowana, wnet jednak ocknęłam się. Postanowiłam go śledzić. Gdy dobiegłam do rogu ulicy Jana z Kolna, nie ujrzałam już szarego garnituru ani popelino-wego kapelusza.

Dziwna historia! Wyszedłam dzisiaj z domu jako szef gangu z Saskiej Kępy, a wracałam jako detektyw.

Przepraszam, jak się pan nazywa?

Po południu znowu padał deszcz. Mama grała na dole w świetlicy w brydża, tata czytał gazetę, a Jacek nic nie robił, tylko ziewał. Ja natomiast myślałam o kapeluszu.

Sprawa była niezwykle skomplikowana. Wyłaniało się kilka możliwości: albo Goguś zamienił kapelusz, a dla zmylenia śladów dopisał potem monogram; albo Goguś nie zamienił kapelusza, tylko łysemu jegomościowi w okularach zależało na tym, żeby inni myśleli, że zamienił; albo... tych „albo” mogło być jeszcze kilka. Szkoda było czasu na „albo”. Należało wpierw sprawdzić, co się stało z zamienionym kapeluszem i rozwiązać fascynującą zagadkę.

Wyszedłam z domu, jakby nigdy nic. Jest to pierwsza zasada dobrego detektywa – tak się zachowywać, żeby robić wrażenie, że nic się nie robi. Otuliłam się szczelnie peleryną, nasu-

nęłam na oczy kaptur, żeby mnie nikt nie poznał, i poszłam na ulicę Jana z Kolna. Udawałam, że słucham, jak deszcz pada, że podziwiam piękno natury i architekturę domów, że myślę o niebieskich migdałach, a tymczasem krążyłam między ulicami Żart, Słoneczną, Plażową i Jana z Kolna. Miałam bowiem nadzieję, że przestępca zjawi się na miejscu przestępstwa. Najbardziej kapowałam na kawiarnię Jantar.

Jak na złość nic się nie działo, tylko deszcz dzwonił na blaszanych dachach monotonnie i sennie. Zaczęłam ziewać, a skoro zaczęłam ziewać, zachciało mi się spać i już miałam wracać do domu, gdy nagle, ni stąd, ni zowąd, usłyszałam za sobą znajomy głos:

– No cóż, moja droga, nie spotkałaś tego pana?

Obejrzałam się. Za mną stał łysy jegomość. Łysinę miał wprawdzie przykrytą płócienną furażerką i osłoniętą parasolem, ale to nie zmieniało faktu, że był łysy. Spoglądał na mnie spoza grubych szkieł okularów i uśmiechał się dobrodusznie jak wujaszek.

W pierwszej chwili chciałam mu opowiedzieć o dziwnym spotkaniu z Gogusiem, ale w samą porę ugryzłam się w język. Prawdziwy detektyw nigdy nie odkrywa swych kart. Zawsze robi tajemniczą minę i udaje, że nic nie wie. Powiedziałam więc niezwykle poważnie:

– Niestety, taki deszcz... Nie wychodziłam prawie z domu. Jegomość przymrużył żartobliwie oko.

– Nie wychodziłaś z domu, a jesteś mokra, jakbyś pływała w pelerynie.

Prawdziwy detektyw musi mieć błyskawiczną orientację. Odparłam więc:

– Pelerynę pożyczyłam jednej dziewczynce, która mieszka w tym samym domu.

– To pięknie. Widzę, że dla wszystkich jesteś jednakowo uprzejma.

– A pan sprawdzał, czy tamten facet odniósł kapelusz?

– Właśnie idę zapytać. Może wstąpisz ze mną? Zobaczymy, jaka jest sytuacja.

– Z przyjemnością – zgodziłam się skwapliwie. – Sama jestem ciekawa... bo przecież pierwsza zauważyłam tę pomyłkę.

– Masz dobre oko – zaśmiał się jegomość.

Zachowywał się zupełnie tak, jakby był dobrym wujaszkiem. Osłonił mnie parasolem, otoczył ramieniem i poszliśmy do Jantaru.

Po obiedzie w kawiarni było prawie pusto. Najazd na Jantar zaczynał się dopiero po piątej.

Dobry wujaszek, jak gdyby nigdy nic, zapytał kelnerkę o kapelusz. Młoda dziewczyna w białym fartuszkowi uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Bardzo mi przykro, ale nikt się nie zgłosił.

– Ha, trudno – rzekł zasepiony. – Miejmy nadzieję, że do wieczora przyjdzie. – Naraz spojrzał na zroszone szyby. – W taki deszcz... nie należy się dziwić. – I zwrócił się do mnie: – Nie odmówisz porcji kremu?

Wspaniałomyślnie nie odmówiłam. Chciałam bowiem przeprowadzić szczegółowy wywiad w sprawie kapeluszy i wiedzieć, co piszczy w trawie. Tymczasem piszczał tylko ekspres do parzenia kawy. Dobry wujaszek posadził mnie naprzeciw siebie, zamówił dwie porcje czekoladowego kremu i westchnął.

Skorzystałam z chwili ciszy.

– Czy pan jest pewny, że zamieniono panu kapelusz?

– Jak dwa razy dwa cztery.

Za bardzo pewny – zanotowałam w pamięci.

– Ciekawe! – powiedziałam głośno.

– Co ciekawe? – zdumiał się jegomość.

– W ogóle... Na przykład, po czym rozpozna pan swój kapelusz, skoro oba były prawie takie same?